

STEFAN SULIMA

STRZĘPY OBYCZAJU WESELNEGO NA WARMII

Gdy mowa o nie znanym nawet niektórym specjalistom regionalizmie warmińskim, nasuwa się szereg wątpliwości i obaw, czy kraik tak mały, o takim jak polska Warmia specyficznym położeniu, układzie stosunków ludnościowych, historycznych i politycznych, był w stanie wytworzyć oryginalną kulturę na szczeblu ludowym.

Obawy te są najzupełniej słuszne, tym słuszniejsze, że nie rozwiane dostatecznie przez polskie badania ludoznawcze, a uzasadnione poza tym brakiem jakiegokolwiek opracowania regionalnej historii, jakiegokolwiek choćby tylko literackiego wizerunku tego kraiku. To, co o Warmii dałoby się powiedzieć, opiera się na półamatorskich wysiłkach miejscowych inteligentów, wśród których ksiądz i nauczyciel ludowy tworzyli szczyty intelektualnej hierarchii. I tak zaliczyć do nich musimy najbardziej wykształconego, pierwszego historyografa polskiego biskupiego lenna Karola Emiliana Sieniawskiego, Jana Liszewskiego, autora zbeletryzowanych i udratyzowanych jednocześnie „Swatów na Warmii“, ks. Walentego Barczewskiego, niestrudzonego polihistora warmińskiego, poetów i publicystów regionalnych: Marię Zientarównę i Alojzego Śliwę. Pomijając dra Sieniawskiego, jedyną pozycję o naukowym charakterze przedstawia w tym skromnym wykazie okazały trzytomowy zbiór pieśni ludowych Augustyna Steffena z lat trzydziestych naszego stulecia, niestety i on nie doprowadzony do końca, rozwierający dotkliwą lukę w miejscu części krytycznej, z zatraconą — jak się zdaje na zawsze — częścią muzyczną. W większości surowy to materiał dopraszający się dopiero dokładnej analizy fachowej, obiecujący niejedną ciekawą, może zgoła rewelacyjny wniosek i odkrycie.

Nie będzie tedy od rzeczy naszkicować, choćby pobieżnie, warunki rozwojowe warmińskiego folkloru, ważne również dla oświetlenia specyficznych odmienności weselnego zwyczaju na polskiej Warmii.

Polska Warmia, Warmia południowa, to okrągło 2.000 km² ściśniętych od połowy XV w. prawie dokoła przez terytorium Zakonu Krzyżackiego lub żywioł niemiecki, od początku zaś niemal wieku XVI w cęgi protestanckiego państwa Hohenzollernów, wielokroć od niej możniejszego. Słaba komunikacja z resztą Polski, do reformacji żywsza może z pruskimi Mazurami, specyficzne stosunki światopoglądowe duchownego kraiku — oto podstawy hermetyzmu regionalnego całej, nie tylko pol-

skiej, Warmii. Jaką jest tutaj rola żywiołu polskiego? Przede wszystkim niejasna historycznie. Przyjmuje się, że obecność jego to następstwo drugiego pokoju toruńskiego, a więc r. 1466, a później działalności pierwszych polskich biskupów, Hozjusza, zwłaszcza Kromera, tedy drugiej połowy wieku XVI. Zjawisko stosunkowo późne, a trzeba dodać, zdaje się wcale nie tak mocno, jakby się to pozornie przedstawiało, związane z świadomą interwencją możliwych, którzy do końca rządów polskich zostali tu tylko przechodniymi, podczas gdy lud siedział na trwałe wkorzeniony. Są bowiem fakty, świadczące o wcześniejszej grubo penetracji polskiego osadnika na te tereny, o jakimś niejasnym kondominium polsko-pruskim na południu Warmii, gdzie to raczej spychani przez kolonizację niemiecką Prusowie zdają się być przybyszami, nie odwiecznie niehistoryczna, wiodąca bezimienną wegetację masa polska. Przynajmniej dowodzi tego zaciekle Sieniawski. W każdym razie żywioł polski istnieje na Warmii już w wieku XVI, dziwnie szybko polonizuje pruskich Białtów i co więcej waży wyraźnie na losach kraiku.

Istnieją poważne poszlaki, że pełne zwycięstwo kontrreformacji na Warmii zapewnia nie tylko w porę zainstalowany polski książę duchowny, ale i polski chłop wraz z niższym polskim duchownym. Wymieniają oni przede wszystkim zużyty ideowo, skłonny do protestantyzacji miejski i niemiecki materiał ludzki, z dawien dawna kontrolujący życie wsi warmińskiej. Potem kolonizacja polska jakby urywała się w połowie drogi, choć nic nie wskazuje na to, by do karczowania lasów i uprawy piaszczyстых gleb południa Warmii potrzebny był pruski indygenat. A mimo to ten utajony żywioł święci dalsze zwycięstwa i w XVII w. posuwa się na północ aż po linię Reszel—Jeziorany—Dobre Miasto, ogarnia kraj prawie całkowicie, ujawnia poważną ekspansywność, obcą w tym czasie stronie niemieckiej, okupującej najlepsze gleby i co najmniej 10 z 12 warmińskich miasteczek. Dodajmy, czyni to bez żadnej pomocy zewnętrznej, bez dostrzegalnej wewnętrznej. Kwestia to jednak więcej historii niż etnografii. Tę drugą zaciekawi bardziej, czy okres rejestracji zjawisk kultury ludowej, połowa XIX wieku, nastęrcza jakieś sugestie co do kulturalnej również aktywności tej garści ludzi dochodzącej w tym czasie do 50.000 głów. Obchodzi ją kwestia kolebki cywilizacyjnej kolonistów polskich na Warmii, a więc zagadnienie: Mazowsze, Ziemia Chełmińska, Pomorze, czy jak niektórzy suponują Śląsk, a może przypadkiem Warmia, być może znajdujące wyświetlenie w dochowanych zabytkach ludowości. Obchodzi ją — i to nie w najmniejszej mierze — o ile życie warmińskie w swych kulturalnych przejawach związane jest z pierwotnym podglebiem pruskim, które przecież zasymilowało, a nasiąknięte zewnętrznym wpływem wyższego cywilizacyjnie sąsiedztwa niemieckiego. Obchodzi ją tym bardziej, z drugiej strony, czy Warmia jako rezerwat społeczno-polityczny, nie znający poddaństwa w sensie ogólnopolskim, pilnie strzegący swych odrębności i wolności, miała jakieś szanse, aby się stać podobnym etnograficznie obiektem, co region księżacki czy kurpiowski.

Niestety z przytoczonych na wstępie względów odpowiedź musi wypaść niejasno, trochę obocznie, bardzo hipotetycznie. Przede wszystkim brzdzi tu sam rejestrator warmiński i pora, w jakiej się wziął do swego dzieła. Wszelki ogólniejszy punkt widzenia, rzecz jasna, był mu w ogóle obcy, a działał raczej pod sam koniec XIX stulecia, czyli że między pierwszą rejestracją warmińskiego folkloru a granicą czasową oznaczającą kres pełnej swobody rozwojowej polskiego życia na Warmii, pierwotnych form gospodarczych i ustrojowych w ramach warmińskiego lenna, upłynęło z górą lat sto, o wiele bardziej brzemienne tutaj w następstwa niż gdzie indziej.

Pośrednio tylko ważne jest, iż r. 1772 przynosi Warmii zabór pruski, dokonany szczególnie drastycznie, bo nawet bez wymienienia Warmii w patencie zaborczym, ważniejsze, że łączy się to z sekularyzacją dóbr biskupich i kapitulnych, zupełną zmianą układu własności ziemskiej, silną imigracją prowadzącą do tworzenia różnych „kasernepolów“, kilkakrotnie podniesionym opodatkowaniem, specjalną polityką władz pruskich na polu szkolnictwa, penetracją dość silnych pruskich manufaktur na rynek warmiński, specjalnym stylem administracji i życia. Wszystko to oznaczało wydatną przeszkodę dla rodzimych form warmińskiego regionalizmu, skazanego już wówczas na kostniejący tradycjonalizm. Jednocześnie bowiem zginęły prawie wszystkie polskie ośrodki dyspozycyjne, wyższe wzory do naśladowania, jakie stwarzały do pewnego stopnia nieliczna tu szlachta, dwór biskupi i kapituła, obsadzone dość licznie Polakami.

Likwidacja sprzyjającej atmosfery rozwojowej, a potem zgola przetrzeni życiowej warmińskiego regionalizmu postępuje teraz z latami coraz szybciej. Zresztą władze pruskie mają w tym względzie wyraźne cele i wypróbowane metody, określające w drodze rozporządzeń administracyjnych nawet zewnętrzny wygląd swoich podwładnych. W reszcie Polski tętno życia narodowego przeważnie wzmaga się od czasu zaborów, jakkolwiek przewrót gospodarczy przebiega wolniej. Na Warmii wojna „wyzwoleńcza“ z Napoleonem przyśpiesza inny proces, wciągania ludności w podniesioną z nagłą falą pruskiego lojalizmu i patriotyzmu, czemu służy przede wszystkim szkoła, powszechniejsza niż dotąd służba wojskowa i oddziaływanie licznych na Warmii centrów miejskich. I tak się dzieje aż do „kulturkampf“, najzupełniej już świadomego ruchu eksterminacyjnego, który zastaje Warmię bez jakiegokolwiek duchowego przywództwa. Cóż więc można powiedzieć o jej folklorze w takich warunkach czekającym na utrwalenie?

Dosyć wiele, aczkolwiek — jak już zostało powiedziane — dość obocznie. Przede wszystkim stanowi on w tym czasie jeszcze bardzo powszechną wartość i własność, przy czym mimo postępującej germanizacji, a właściwie wobec postępującej germanizacji zaczyna tworzyć wyraźne kryterium odmienności plemiennej w oczach warmińskiego Polaka oraz punkt oparcia dla programowej już opozycji. Etapem walki o język i obyczaj przodków rozpoczyna się na Warmii ruch niebawem także polityczny, zdążający do utrzymania i pielęgnacji narodowości polskiej. On też przy-

nosi owo samorzutne zwrócenie się samorodnych pisarzy ludowych ku zagrożonym zagładą wartościom duchowym warmińskiego życia. Tak więc izolowany terytorialnie od patriotycznych wpływów, karmiony ledwie odgłosami powstań narodowych, pozbawiony kadr inteligenckich lud warmiński o własnych niemal zupełnie siłach właśnie na gruncie rodzimej kultury dochodzi w ostatniej ćwierci XIX stulecia do podobnego stanu świadomości narodowej i patriotycznej, co dysponujące wielkimi centrami kulturalnymi ziemie zaboru pruskiego.

Nie jest to zjawisko bagatelne, nawet gdy przyjmujemy, że przy obojętności reszty narodu nie mogło ono trwać w nieskończoność, po prostu na skutek zwykłej dysproporcji działających przeciw sobie sił: 50.000 prostych chłopów, kierowanych przez garść nauczycieli ludowych i wyjątkowych księży, garści zwróconej przeciw wielokroć liczniejszemu społeczeństwu wschodnio-pruskiemu, judzonemu przez pierwszą potęgę ówczesnej Europy wraz z jej ogromnymi zasobami i środkami.

To jedno. Drugi moment jest nie mniej charakterystyczny. Niewątpliwie kultura ludowa polskiej Warmii doznaje w ciągu XIX wieku, może i wcześniej, nieuniknionego skażenia, przede wszystkim przez recepcję niemieckich określeń osobowych czy przedmiotowych, usprawniających i unowocześniających oryginalną, lecz archaiczną i martwiejącą gwarę warmińską. W miarę upływu czasu i dokonujących się przemian gospodarczych, społecznych a zwłaszcza politycznych społeczeństwo warmińskie staje coraz częściej wobec dylematu pogodzenia zasobu językowego środowiska chłopskiego z wymogami codziennego życia wśród nowych zjawisk. Zresztą stwarza te trudności sama ewolucja, jaką przechodzi jednocześnie państwo pruskie. Industrializm i urbanizm w jego kapitalistycznej formie przenoszą się na Warmii dość szybko na pogranicze cywilizacji wiejskiej, często przekraczając nawet tę granicę. Padają tedy ofiarą: strój ludowy, budownictwo drewniane, tępione zarówno ze względów policyjnych jak z ansy do „prymitywu“, narzędzia, gusty, obyczaje. A jednak mimo to kultura rodzima polskiej wsi, nawet jako przeżytek, zachowuje niezwykle w b. Prusach Wschodnich stanowisko, prawdopodobnie przez swoją oryginalność. W skali ogólnej dorównuje jej tu tylko regionalizm litewski, który jako własność zniemczonego zupełnie odłamu ludnościowego urasta do godności reprezentacyjnego dla Prus Wschodnich.

W wypadku Warmii rzecz ma się nieco inaczej. Nawet przekształcająca się rodzima kultura warmińska nie przestaje emanować na otoczenie. Przeglądając niemieckie publikacje w tym względzie nawet laik odnosi wrażenie, że jest to właściwie jedyna żywa kultura duchowa w środowisku wiejskim, przynajmniej na południu Warmii a nabiera podejrzenia, że folklor tak zwanej dawnej niemieckiej Warmii nie tylko w zakresie budownictwa drewnianego czerpał stąd pełnymi garściami. Warmia nie doczekała się dotąd polskiej monografii ludnościowej, natomiast posiada namiastkę jej w literaturze niemieckiej. Owa namiastka posłużyć może jako ilustracja dopiero co przedstawionych wywodów. Autorem jej jest

Alois Bludau, niemiecki Warmiak, któremu wielkie wydawnictwo zbiorowe, wychodzące z początkiem XX wieku w Stuttgarcie, powierzyło opracowanie encyklopedycznego przeglądu stosunków terytorialnych i ludnościowych Warmii. Już sama metoda przedstawienia warmińskiego materiału nasuwa ciekawe podejrzenie. Dawne lenno warmińskie, od początku swego istnienia pod każdym względem wyodrębnione od sąsiadów, potraktowane zostało z woli wydawców ni to w ramach geograficznego, ni historycznego podziału, lecz na tle dowolnie i mechanicznie wydzielonego zespołu ziem staropruskich. W takim postawieniu sprawy była wyraźna myśl przewodnia utopienia spraw warmińskich w bardziej obojętnym materiale faktycznym, szczególnie kosztem historii i etnografii dawnego biskupiego lenna. Neutralizowało to wiele istotnych specyfikacji i różnic oraz rozciągało sztuczny wspólny mianownik na polskie i niemieckie zjawiska ludnościowe. Szczególnie jaskrawo wystąpiło to w wypadku tych ostatnich wobec obszernego rozwałkowania niedawnych podziałów dialektycznych niemieckiej Warmii. Oliwa wypłynęła na powierzchnię dwuznacznych kombinacji. Okazało się, że w gruncie rzeczy polska Warmia jedynie zdolna jest dostarczyć odpowiedniej ilości przykładów warmińskiego folkloru, oczywiście dostarczyć anonimowo. To chyba najdobitniej charakteryzuje stopień aktywności i samodzielności polskiego życia duchowego jednego z najbardziej zapoznanych naszych regionów.

Mając w pamięci ten wstęp, przyjrzyjmy się nareszcie, jako ilustracji tego, co zostało powiedziane, obrzędowi warmińskiego wesela. Związek małżeński dwojga osób ma wśród Warmiaków nie byle jakie znaczenie. Lud jest tu nieco odrobinniej religijny, więcej zwrócony ku etycznej stronie religii niż ku dewocyjnej, niż to bywa w innych częściach kraju. Jego więc kontakt z życiem kościelnym silniej oddziaływa na obyczaje, zaznacza się też w licznych akcentach religijnych w ludowej twórczości, o tyle zrozumiałych poza tym, że dawne księstwo duchowne miało po temu szczególne predyspozycje, zaś bezpośrednie sąsiedztwo protestanckie skłaniało ludność ku ciekawej rywalizacji na punkcie obyczajności. Znać tu też wpływ stosunkowo wysokiej oświaty i długotrwałego czytelnictwa literatury dewocyjnej, kształtującej w ciągu XIX stulecia mentalność warmińską. To by nadawało waloru uroczystości aktu kościelnego. Strona świecka pozostaje już bez porównania silniej pod działaniem innych, bardziej istotnych dla kultury ludowej czynników. Warto tu wymienić żywy temperament i pracowity tryb życia warmińskiego chłopca, pogodne usposobienie, zamiłowanie do zabawy, muzyki, towarzystwa, dobrego i obficie zastawionego stołu, skłonność do niemałej wystawności zwłaszcza z okazji rodzinnych i gromadzkich zjazdów, do których asumpt dają uroczystości w rodzaju chrzcina, wesel, prymicji lub kiermasów, utrzymujące ścisłą solidarność warmińskiego zakątka. Poza tym Warmia z dawien dawna to kraj bardziej niebieski niż zielony w porze kwitnienia lnu. Len daje kraikowi znaczną zamożność, uprawia się go tedy na-

wet kosztem zbóż i warzyw. Braniewo, czasu polskich rządów, Melzak i Orneta bogacą się na niczym innym jak na wielowiekowym pośrednictwie handlowym między modrą od lnu wsią warmińską a zewnętrznym odbiorcą. Len ma swoje wymogi i technologię, wkracza więc bardzo pewnie i zachłannie w warmińskie zwyczaje. Jesienny zwyczaj prządek, kiedy to całe wsie schodzą się dla jego obróbki, wywiera specyficzny wpływ na zażyłość wiejską, na artystyczne skłonności całych pokoleń, *antiquo modo* przedłużających żywot baśni i pieśni ludowej przy kołowrotku, wzbogacających wysoki poziom sztuki tkackiej i lniarskiej, a więc zdobywających szereg ciekawych i wartościowych elementów kultury ludowej. Mają „prządki“ też inny jeszcze wpływ, mianowicie na kojarzenie par małżeńskich.

Po prządkach panuje zwykle na Warmii około połowy XIX w. ożywiony sezon matrymonialny, przy czym równy zimowemu jest mniej dokładnie określony letni, zapewne przed żniwami. Dziwna postać zdaje się wiązać z tymi okresami. Nie wspominają o niej ani Sieniawski, ani Śliwa, ani Bludau, nic konkretnego na ten temat nie potrafi powiedzieć staruszka Berentowa z Tomaszkowa, na której informacjach również opiera się narkreślony tu szkic. Jest to Winczara, czy Wieńczara — rajek, a więc pośrednik wiejski, być może także w sprawach małżeńskich.

Preliminaria małżeńskie, to sądząc ze „Swatów“ Liszewskie²⁰, sprawa bardziej rodziców niż młodych. Warmia nie zna wielkiego rozdrobnienia ziemi, mimo znacznej płodności swego ludu, broni się najwidoczniej przed zachwianiem równowagi gospodarczej poszczególnych rodzin, co byłoby dla niej szczególnie groźne mimo niezbyt gęstego zaludnienia kraju. Niemiecka północ zachęcała wprawdzie żyznością, niemniej jej lepsza ziemia jest trudna do nabycia, jako że droga i dość mocno siedząca w obcych rękach. Warmiak przywiązany zresztą do ojcowizny tylko w ostateczności godzi się na emigrację, nawet na tak bliską obczyznę. Już chętniej przenosi się na 50% diasporę katolicką na Mazurach, choć ziemia tam słaba i niewydajna, nieraz nad możliwość korzystnej emigracji zarobkowej w zachodnie Niemcy przekłada po prostu wyjazd... do Warszawy, gdzie w XIX wieku nie dostrzegana przez nikogo szuka sobie chleba i pracy dwutysięczna warmińska kolonia.

Ważna to chwila, gdy wreszcie strony dochodzą do porozumienia, oznacza ona, że niebawem nastąpią „glandy“, czy „ględy“. Brzmienie tych wyrazów zmienia się w zależności od tego, jak je wymawia jedna z dwu dialektycznie różnych części Warmii, w której z nich przeważa samogłoska „a“, a w której „e“. Są to po prostu „ogłędy“, czyli zaręczyny. W dniu tym młoda para daje na zapowiedzi u proboszcza, czasem dokonuje poświęcenia obrączek a następnie z udziałem dwu świadków odbywa się ściśle rodzinna uroczystość, połączona z obiadem. Nie obędzie się ona bez prawdziwej kawy i słynnego warmińskiego „kucha“, to jest kołacza z posypką, pieczonego w szeregu specjalnych odmian.

Ów „kuch“ to pierwszy z obcojęzycznych określeń, mających obieg na weselu warmińskim. W połowie wieku XIX, nie wiedzieć z jakiego bez-

¹⁹ Przegląd Zachodni

pośredniego bodźca, z niemiecka zwą się też państwo młodzi: ona — „brutka“, on — „brutkan“ czy „brutkam“. „Glandy“ służą między innymi na to, by dokonać wyboru jeszcze innego obco nazwanego uczestnika obrzędu: „placmirza“, czy „placmistrza“, pierwszego weselnego drużby. „Placmirz“ to nieodzowna dawniej, nadzwyczaj ciekawa figura. Podobno jest ich dwu, po jednym z grona krewnych, rzadziej przyjaciół państwa młodych, przy czym „placmirz“ panny młodej zdaje się być najważniejszą z weselnego orszaku postacią. On to w imieniu młodych i ich rodziców sprasza gości, służy przy weselnym stole, nadzoruje muzykę, pełni szereg czynności porządkowych, które właściwie czynią z niego mistrza ceremonii, weselnego starostę.

Niezbyt jasną jest kwestia, jacy oprócz „placmirza“ istnieli dalsi drużbowie i na czym polegała ich rola, jak wyglądał ich dobór oraz dobór druchen. Wiemy tylko, że zwali się „przydonami“ lub „przydanami“, druchny „przydonkami“ lub „przydankami“. Być może podobną nazwę miał i „placmirz“, zanim nie zapożyczono dlań obcego przezwiska.

Barwna to postać i pełna fantazji. Gdy ksiądz „zwali“ już młodych z ambony, to jest ogłosił zapowiedzi, „placmirz“ przystępuje do dzieła. Śluby odbywają się zwyczajnie we wtorek po ostatniej zapowiedzi, nigdy w samą niedzielę. Już we czwartek przed ślubem przyjeżdża „placmirz“ konno a strojnie przed dom panny młodej, on sam i koń przybrani w barwne wstążki i tzw. ruchle przez przydanę „placmirza“. Przez pierś nosi przepasaną barwną szarfę, spiętą u boku w pęk kolorowych wstążek, w rękę dzierży biczysko, z którego strzela, oznajmiając przybycie. Jak doszedł do swej przydanki i jaka jest jej rola — nie wiadomo. Podobnie w samej rzeczy niepewne jest, czy istotnie „placmirzów“ było dwu. O dwu mówi tylko najstarsza relacja gospodarza Kiszporskiego z Wielkiego Klebarka, cytowana przez Sieniawskiego, inne wspominają o jednym, i to drużbie panny młodej. W dzień czwartkowy placmirz zjawia się w przyszłym domu weselnym po prostu po instrukcje. Dawniej strzeliwszy z bicza, zastukawszy jego ręką w drzwi, wjeżdżał w tym celu konno do izby. Zwyczaj ten zatarł się wszakże stopniowo zupełnie, a pośrednią fazą procesu zanikania był wjazd na drewnianym kiju ustrojonym wiankiem i wstążkami.

Przedweselna rola „placmirza“ wydaje się być ściśle wyznaczona przez tradycyjne teksty okolicznościowe: oracje „placmirzowskie“*) wygłaszane nieraz wierszem. Zarówno w domu panny jak i u poszczególnych gości wygłaszał je dawniej z konia:

Winszuję waćpaństwu dnia dzisiejszego, winszuję i szczęścia dobrego

Zem tak śmieie i poufale wjechał do waćpaństwa domu,

Prosząc od waćpaństwa słówko do mnie przemówić,

Czyli z konika zsiadać, czyli na nim na powrót wracać —

zwracał się do rodziców panny młodej.

Instrukcje co do zaproszonych osób otrzymywał drużba, zsiadłszy z konia, w czasie poczęstunku, po czym wprost wyjeżdżał na zaprosiny.

*) Oracje weselne zna m. in. także ziemia chetmińska.

Oracje, wygłaszane po domach, nie różniły się charakterem od zacytowanego wstępu, były tylko obszerniejsze. Zawierały one również formułę zaproszenia w imieniu gospodarzy wesela:

*Daje się waćpaństwu bardzo mile kłaniać pan ojciec, pani matka,
Pan brutkan, panna brutka i ja się też waćpaństwu kłaniam,
I upraszam o pannę i pacholka*

(ta część zaproszenia zmieniała się stosownie do objętych nim osób).

*Aby tacy byli godni i przystojni
A tym dwojga ludziom nie gardzili
I do stanu małżeńskiego ich doprowadzili.*

Tu następowało wierszowane wyliczenie poszczególnych obrzędów kościelnych, a następnie weselných atrakcji:

*Najpierw — zapraszał „placmirz“ —
na kieliszeczek wódki, na bułkę chleba,
Którą nam dał sam Pan Jezus z nieba,
Na kuraka pieczonego,
Na jednego i drugiego,
Na piwa war.
Będzie tam wielki gwar,
Będą tam struny brzmiały,
Będą pod panienkami nogi drżały,
Będą tam starzy w karty grali,
A my młodzi w koło,
Aby nam było wesoło.
Będzie tam pierwszy piwniczny, który będzie piwo toczył,
A ja też będę przy tym i będę je waćpaństwu donosił.
Ej, bywajcie, waćpaństwo, zdrowi
Na przyszły wtorek gotowi.*

W czasie oracji, zapewne dla urozmaicenia tej długiej sceny, drużba objeżdżał konno izbę, a cały ten ceremoniał miał, jak się zdaje, charakter nieco groteskowy.

W ogóle „placmirz“ miał przed weselem bardzo pracowity okres. Pominąwszy, że był to zwykle człowiek młody i oracji musiał się uczyć na pamięć, prócz zaprosin na wesele dokonywał zaprosin całego sztabu pomocnic i pomocników do prac przygotowawczych. Chodziło tu nie tylko o liczne kucharki, ile o dziewczęta i chłopców, którzy w poniedziałek przed ślubem schodzili się dla wicia wianków i zieleni ku ozdobie weselnego domu, stawiali triumfalną bramę, a na koniec zabawiali się generalnym biciem szkła i statków za progiem domu, „na szczęście“.

We wtorek rano „placmirz“ raz jeszcze objeżdżał domy, pilnując punktualnego zbierania się gości, a następnie doglądał toku zwyczajowego rytuału. On też dawał znak odjazdu do kościoła. Wjeżdżał konno do izby i znowu wygłaszał dłuższą orację. Szczególna formą i treść warmińskich oracji weselných zasługiwałaby na bliższą uwagę. Niewątpliwie główny zrab ich starszy jest niż połowa XIX wieku, a niektóre zwroty wskazują jakby na wzory starszylacheckiej retoryki, wplecione w wątek ludowy. Kto wie, czy nie produkowali ich miejscowi inteligenci wiejscy, jak or-

ganiści, nauczyciele, może księża, wreszcie jacyś samorodni okolicznościowi składacze rymów. Kilku takich da się wysledzić w relacjach Sieniawskiego i A. Śliwy. Jednakże trudno orzec, czy byli to faktyczni twórcy oracyjnych tekstów, czy tylko kompilatorzy i deklamatorzy. Oracje zawierają wiele reminiscencji biblijnych, kaznodziejskich popisów, literatury dewocyjnej, widocznie zniekształconych w pierwotnym tekście, co wskazywałoby na pamięciowe tylko przyswojenie ich przez wspomniane jednostki. W jednej z oracji zawierającej szereg nauk moralnych czytamy między innymi:

*Winszuję tej pannie brutce szczęścia dobrego,
Jak niegdyś winszowała Najświętsza Maria Panna Józefowi światemu,
gdy rzekła do niego: Ej, synu mój najmilszy i najukochańszy, pójdźmyż do
Galilei, tam przy zgromadzonym ludzie, przy tym dzieciątku
Będziem weseli mieli.*

Oracje miały szereg odmian, w każdym razie żadna nie jest wolna od niby erudycyjnych zapożyczeń z Pisma św., czy wprost nauk kościelnych. Nie wykluczone, że późniejsza germanizacja tych tekstów pociągnęła za sobą i powolne zniemczenie przemówień weselnych.

Ilość gości przytomnych przy tej wstępnej uroczystości była zazwyczaj już bardzo znaczna. W ciągu dnia niewielu spóźnionych uzupełniało ich liczbę. Jeszcze za pamięci ludzkiej wesela warmińskie stanowiły uroczystości gromadzkie, na które zjeżdżali dodatkowo liczni tu krewni i znajomi. Dochodziło do tego, że obrazą było nie zaprosić kogoś ze współmieszkańców wsi na wesele. Staruszka Berentowa, na której wspomnieniach opieram ten szczegół, pamięta do dziś, że za czasów jej młodości na większe wesela wynajmowało się dwa domy, jeden na nocleg dla przyjezdnych gości, drugi na tańce. Łącznie z przenosinami wesela trwały nawet całą oktawę.

Sam wyjazd do kościoła wymagał tedy dłuższych przygotowań. Czas ten umilała gościom kapela, trwająca na stanowisku od wczesnego rana, a składała ją zwykle pięciu muzykantów — dwie trąby, klarnet, „krowa“, czyli basy, bęben lub skrzypce — opłacanych przez pana młodego, nieraz przy udziale przyjaciół. Jej benefisem były tak zwane „bywaty“, krótsze lub dłuższe przygrywki, kończące się napiwkami. W rano weselny witali muzykanci „bywatami“ każdego przybywającego gościa, wychodząc po niego przed próg i wprowadzając go do domu. Wspomniana już przedwyjazdowa oracja „placmirza“ wypadała przeważnie na koniec pierwszego śniadania, po czym młodzi przystępowali do ceremonii dziękowania rodzicom za dobrodziejstwa i przeprosin za wyrządzone przykrości. Otrzymywali następnie błogosławieństwo rodzicielskie, co stanowiło sygnał do wsiadania na wozy.

Wreszcie ustrojone pojazdy ruszały w drogę. Przodem jechali goście, dalej druźbowie i druchny, na końcu każde z osobna państwo młodzi. Ona odziana była w długą suknię i welon (niesiony w kościele przez dwie małe dziewczynki), w mirtowym wianku na głowie, z bukietem w rękę; on na czarno, z wiązką mirtową na piersi, przeplecioną białą

wstążką i kwiatkami. Oczywiście były to już stroje używane po zaniknięciu warmińskich regionalnych.

Sam sakrament łączył się z mszą śpiewaną, przez co trwał dość długo. W czasie ślubu kościelny nieznacznie podstawił na stopniach ołtarza tacę na napiwki dla siebie i organisty. Gratulacje odbierali młodzi przed kościołem, po czym orszak weselny wstępował niekiedy do karczmy na kieliszek gorzałki, zanim misje kościelne nie położyły temu w większości miejsc kresu. Rzadziej na kilka tańców wpadano na plebanię.

O ile jazda do kościoła nie wymagała szczególnej szybkości, o tyle przesąd nakazywał wracać do domu pędem i bez przystanków, aby uniknąć złej wróżby dla małżonków. Na tę chwilę przygotowywali się woźnice na długi czas naprzód. Wypasione i okazałe wyglądające konie nie tylko przynosiły zaszczyt w orszaku, ale również dawały szansę wyprzedzenia wracających z kościoła wozów. Hałaśliwie przy pokrzykach woźniców: „Nie doj sia“, „pokoż co możesz“, trwała kawalerska jazda, dając powód do późniejszych przechwałek i drwinek.

Tymczasem w domu weselnym muzyka racząc się oczekiwała na powrót weselników. Gdy tylko z daleka pokazały się pierwsze wozy, muzykanci — ile sił w płucach i palcach — rozpoczęli głośny „bywat“ i nie ustawali, dopóki ostatni gość nie przekroczył progu izby. Krótkie śniadanie poprzedzało teraz tańce w największej izbie, latem w ustrojonym, wieczór iluminowanym sadzie. Tańczono przede wszystkim krakowiaka, który na Warmii uchodził za taniec „światowy“, całe towarzystwo stawało do poloneza, tańczono poza tym zapewne warmińskiego „kosejdra“, „żabkę“, „po jeny dyli“ i inne. Z biegiem czasu moda na niemieckie tańce wirowe, idąca w parze z widocznym i gdzie indziej skażeniem pierwotnego obyczaju, wyparła przede wszystkim tańce miejscowe. W czasie zabawy młodych starzy zasiadali do kart pasjonujących Warmiaków nie wiedzieć odkąd. W XIX w. grano jednak przeważnie w gry niemieckie „86“, „skata“ i inne.

Obiad weselny rozpoczynał się wieczorem około siódmej i koronował uroczystości. Cechowała go wielka obfitość potraw, wędlin i mięs, znacznie skromniejsza piwa i wódki. W ogóle, gdy chodzi o użycie alkoholu w drugiej połowie XIX w., cechował Warmię ciekawy umiar w tym względzie. „Bziałkom“, to jest kobietom, nie podawano go wcale. Ważną funkcję spełniał tutaj „placmirz“, serwując męskiej stronie, podczas gdy „przydonki“ czyniły to samo po stronie kobiecej. Punktem szczytowym bankietu były okolicznościowe mowy miejscowych krasomówców, ujmowane znowu w formę oracji:

*Byliśmy w kościele, gdzie nowożeńcy
Według słów apostoła zawarli ślub,
Którego nikt nie zerwie, jeno śmierć i grób —*

zaczynali tego rodzaju przemówienia bracia Mazuchowie z Raszaga w powiecie reszelskim, których orację przytacza A. Śliwa w swoim pamiętniku. Potem następowała dłuższa partia okolicznościowo-moralizatorska.

Przygotowywało to słuchaczy do składki na gospodarstwo młodej pani, urządzonej zwyczajowo w czasie obiadu. Kwestowano do talerzyka lub pantofelka panny młodej, przybranego wiankiem mirtowym, a czynność ta stanowiła znowu specjalność zamięłowanych rezonerów wiejskich. Popisywali się tedy dowcipem i zręcznością w składaniu aktualnych rymów, chwalaćcych hojność, naganiających skąpstwo:

*Doł ci pótrojoka
Ni na krowę ni na cieloka
Bywat mu —*

pokrzykiwał kolektor, a orkiestra każdy większy datek kwitowała przygrywką. Szczególnie zaginano parol przy tej okazji na osławionych sknerów.

*Doł dwa grosze,
Już go na wesele nie zaproszę —*

dworował kwestarz, zachęcając do większych datków:

*Trojoczysko podskakuje,
Bo w kieszeni więcej czuje.
Bywat mu!*

W składce miały czasem udział pomocnice: kucharki i służba.

Zwyczaju oczepin podobno Warmia nie znała. Punktualnie o północy sadzano pannę młodą na krzeselku w wielkiej izbie, druchny zdejmowały jej wianek i welon, a następnie zataczały wokół niej koło. Śpiewały przy tym piosenki, w przeciwieństwie do oracji, ściśle ludowe, a tymczasem panna młoda zmieniała strój weselny na codzienny. Jest rzeczą charakterystyczną, że od piosenek niby oczepinowych rozpoczęła się później germanizacja wesel warmińskich. Znamy też ich bardzo niewiele, kilka z nich przytacza Sieniawski, kilka Steffen.

*Siadaj, siadaj, kochanie moje,
Nic ci nie nada płakanie twoje,
Nic ci nie nada, nic nie pomoże:
Stoją konie przy ślubnym wozie,
A ty siadać masz,*

brzmiała jedna z nich, śpiewana, jak się zdaje jednak przed „oddawem“, to jest ślubem. Wskazywałyby na to dalsze zwrotki:

*A wy przydanowie i przydanecki
Siadajcie ze mną na wasze wózeczki
I pojedziemy, i ślub złożym,
I się wspólnie ucieszymy,
Bo już siadać czas.*

Inna, również wielozwrotkowa pieśń ślubna brzmi następująco:

*Przez Wartembork strużka
A przez strużkę kłódka,
Prosił Janek o Kasiulkę,
By mu dała matka.*

Piosenka ta obchodziła całą Warmię, zmieniając tylko Wartembork na Wengój, Nojdymóz czy inne, Kasiulkę na Analkę, Jasia na Antosza. Stef-

fen wśród ośmiu znanych mu pieśni weselnych wyróżnia jedną jako ściśle oczepinową, ma ona poza tym dość powszechny obieg na ziemiach Polski:

*W polu ogródeczek
W polu malowany,
A chtoż go malował?
Jasieczek kochany.*

*A w tam łógródeczku
Zakścioly noliki (goździki),
Zakłodoj, zaprzogoj
Te bronne koniki.*

*Ciajżkie zaprzonganie,
Kiedy sia targajó,
Ciajżki żol dziewczynie,
Kiedy ji ślub dajó.*

Znano tę piosenkę jeszcze w latach trzydziestych we wsi Sząbruk (Prądnik) koło Olsztyna.

Obrzędowi niby oczepinowemu towarzyszył taniec z zawiązanymi oczkami, w którym panna młoda szukała pana młodego, tańcząc z każdym z gości, którego po omacku schwyciła. Kończył go taniec obojga młodych. Ten przeciągający się czasem i monotony wówczas zwyczaj weselny urozmaicały występy figur komicznych: klatnika (handlarza starzyzną), żandarma, kominiarza, baby i dziada. Potem zabawa trwała już swobodnie do białego rana. W nowszych czasach na tym się kończyło wesele. Przyjezdni goście zjadali jeszcze śniadanie, po czym, obdarowani „kuchem“ dla nieobecnych na ślubie, odjeżdżali do domu. Przedtem zabawa weselna trwała z krótkimi przerwami całe dni.

Pozostawał jeszcze jeden obchód weselny, w wypadku gdy panna udawała się za mężem lub gdy młodzi osiadali na własnym gospodarstwie: przenosiny. Brali w nich udział wszyscy goście, pozostali w domu weselnym. Ładowali na wozy „pusog“, a więc pierzyny, meble, prezenty, statki, dokazywali w czasie jazdy, wprowadzali młodych do domu i bawili się u nich do późnej nocy.

Steffen zna piosenkę śpiewaną przed wyjazdem na przenosiny, przechowaną również w Sząbruku (Prądniku). Jest to prawie ta sama piosenka, którą przytacza Sieniawski przed sześćdziesięciu laty za nauczycielem z Jedzbarka koło Wartemborka (Barczewa) Gallinowskim:

*Siodoj, siodoj, moje kochanie,
Nie pomoże twoje płakanie,
Płakanie nic nie pomoże,
Sztéry konie stojó w wozie,
A ty siodać mosz.*

Podobnie też wbrew opinii poety warmińskiego A. Śliwy, Steffen przyjmuje zwyczaj oczepin na Warmii, komentując pieśń oczepinową

„W polu ogródeczek“, przytoczoną poprzednio. Opiera on swój komentarz na ostatniej zwrotce:

*Wyszła z kościółeczka
Już nie panienczka,
Ze złota, ze ślebra
Sodzajó myceczka.*

„Myceczka“ to czepek kobiet warmińskich, chyba jedno z najbogatszych odświętnych nakryć głowy na ziemiach polskich. Istotnie była ona haftowana srebrem i złotem i taką przechowują ją do dzisiaj, niestety, już tylko muzea. Czy jednak czepiono nią panny młode w czasie wesela, sprawą jest niepewną.

A teraz nieco o przeżytkach zwyczajów weselnych, jakie przetrwały na Warmii do naszych czasów. Znam je z wesela widzianego we wsi Tomaszkowo pod Olsztynem, uchodzącej za jedną ze sztandarowo polskich na Warmii. Dlatego to oszczędzono jej dobrodziejstwa „ostlandzulagów“ za czasów niemieckich, no i dzięki temu zachowała także zewnętrzne piętno polskości w strzechach, drewnianych chatach, malwowych ogródkach i zwykłej bitej szosie. Niestety, nawet w Tomaszkowie, gdzie do r. 1914 nie mówiono łącznie z nauczycielem po niemiecku, zwyczaję weselne zwietrzały i zatarły się głównie pod wpływem szowinizmu hitlerowskiego. Owszem, starsze pokolenie zna je całkiem dokładnie, młode jednak wyprawiające wesela musi sobie przyswajać je na nowo. Wesele tomaszkowskie było właśnie taką próbą wskrzeszenia starego obyczaju i trzeba przyznać, udało się doskonale, a to dlatego, że polski Warmiak, nawet w młodym pokoleniu, odczuwa żywy sentyment dla rodzimego folkloru i wielką ku niemu skłonność. Duszą uroczystości był miejscowy nauczyciel-Warmiak, a restytuowali zwyczaję weselne starzy tomaszkowianie.

W stosunku do zapisów Sieniawskiego i Śliwy wesele w Tomaszkowie różniło się tylko drugorzędnymi szczegółami. I tak przed wyjazdem do kościoła muzyka zastąpiła śpiew i zagrała najpierw pobożne, przy ruszeniu zaś skoczne melodie. Po ślubie panna młoda „odwitała się“ z koleżankami, pan młody z kolegami. Na bankiecie po powrocie do domu wiele uwagi poświęcono tortowi z bukieciem wewnątrz. Ten ostatni miał symboliczne znaczenie dla tej panny, której przypadł w udziale. Przekazanie wianka odbyło się o północy z udziałem postaci komicznych, oddała go panna młoda z zawiązanymi oczami jednej z dziewcząt. Był to również dobry omen dla obdarowanej.

Niezależnie od tych zmian, z których jedne wyglądają na stare formy, inne na nowsze, starsi tomaszkowianie byli zdania, że „placmirz“ był stałym specjalistą od uroczystości weselnych i jako taki pełnił swój urząd na każdym weselu. Nie byłoby w tym nic szczególnego, zwłaszcza w okresie zanikania zwyczajów rodzimych, gdy się zważy rozległość i trudności jego obowiązków.

Wesele w Tomaszkowie stanowiło jeszcze próbę o tyle udaną, że pozwoliło ustalić, o ile folklor warmiński stał się przeżytkiem w dzisiejszych czasach, a o ile pozostał potrzebą i ożywczą siłą. Jako przejaw równoległej z codziennym życiem twórczości ludowej istotnie stracił on ogromnie grunt pod nogami. Wieś warmińska jest ogołocona z zabytku rodzimego przez rządy niemieckie i ostatnią wojnę. Pod tym względem konieczna jest rekonstrukcja nawet przeciętnych modeli do naśladownictwa. Ale za to jako potrzeba i czynnik ożywczy folklor warmiński przetrwał największe trudności. Wystarczy go odświeżyć w pamięci stosunkowo nie starych ludzi, a przyjmują to z sentymentem i wzruszeniem. Z młodymi również nie ma zbytniego kłopotu. Przyswoili już sobie w Tomaszkowie i okolicy zwyczaj bożonarodzeniowych „sługów“, bardzo łatwo zapalają się do tańca i pieśni regionalnej. Pod tym względem na weselu w Tomaszkowie zawstydzali starych, którzy z niejakim zażenowaniem kręcili staroświeckie walce i reinlendery.

Na marginesie wesela tomaszkowskiego należałoby jeszcze zrobić jedną uwagę. Rzadko kiedy spotkać można podobnie pogodną i serdeczną zabawę, jaką tam można było obserwować. Bawiono się do białego rana, a stopień rozbawienia trzeba określić jako niecodzienny. Nie przeszkadzało to, że nastrój od początku był świeży, naturalny, rozochocony, ale wolny całkowicie od potencjonalnego choćby pierwiastka awanturczości. Był to przejaw zadziwiający, wystawiający chlubne świadectwo wysokiej kulturze osobistej i towarzyskiej Warmiaków. Ani jeden zgrzyt nie zmącił całonocnej zabawy, nie naruszono w żadnym wypadku niczyjej drażliwości czy poczucia przyzwoitości. A trzeba wiedzieć, że alkohol stał swobodnie na stole w sąsiadującym z salą taneczną alkierzyku i nikt go nie pilnował. Nie wiedzieć, co bardziej imponowało tutaj: czy fakt, iż w sąsiedztwie bawiło się sporo młodzieży i korzystało ze swobody picia z podziwu godnym umiarem, czy inny przeciwny wypadek — w całym towarzystwie, liczącym około pięćdziesięciu osób, jeden tylko weselnik podchmielił sobie nieco znacznie. Był to rybak z sąsiedztwa, który niejako z urzędu przekroczył obowiązującą normę. „Ryboki lubiejo popsić“ — tłumaczono nam z rozbawieniem. Albo: „to je rybok“ — powiadano tonem wyjaśnienia. Rybak wywijał wszystkie walce i obertasy, pokrzykiwał, udawał koguta, błaznował, ale na tym też kończyła się jego licencja pijacka. Ani w głowie było mu zerknąć do alkierzyka, nie pragnął też większej swobody w dokazywaniu. Podobno taka już jest tradycja warmińskich wesel i pod tym względem nic nie zmieniło się od czasów ks. Barczewskiego, którego opisy ludoznawcze można by przyjmować za jakąś idealną deformację rzeczywistości. Trzeba więc sądzić, że taki jest styl warmińskiego życia, odpowiadający stopniowi, jaki osiągnęła mimo rozlicznych przeszkód warmińska kultura ludowa. Pozwala to mieć nadzieję nie tylko co do możliwości odrodzenia się warmińskiego życia regionalnego, ale stanowi zachęcającą okoliczność dla badacza, który chciałby się poświęcić prawie zupełnie nieznanym zabytkom polskiej ludności na Warmii.